

Magon



ELIZA ORZESZKOWA

Magon

Na pokładzie wspaniałej tryremy, ognistem okiem ścigając blaski morza, przez trzy rzędy potężnych wiosel oranego, Mago Wielki, floty kartagińskiej wódz, czyli Nawarchos, w głębokich pograżał się dumaniach. Dumania to były takie, jakie niekiedy szumią w duszach skrzydlatych, mających w sobie głębie tajemnicze, a w nich głuche boje i zdziwienia. Dziwił się Mago bojowi, który w nim powstał, a wzrastał w miarę zmniejszania się przestrzeni, rozdzielającej Kartaginę od Syrakuzy, ojczyznę Magona, przepotęzną i kwitnącą, od krainy mąk, jęków i grozy.

Jaki to był bój? Jakie siły jawne i ukryte toczyły go poczęły w szerokiej piersi wojownika, wojownika o mocy miecza tak niepokonanej, że zawczasu, — bo kruczy włos nie siwiał mu jeszcze u skroni, — z imieniem jego skuła słowo: Wielki! Oto ze strony jednej w słonecznych blaskach i wawrzynowym liściu jaśniały radość i duma, że Kartagina jest najpierwszą potęgą świata i że on, Mago z Kartagińczyków jest najpierwszym, a z drugiej strony, zdaleka, niewyraźne, lecz natrętne, toczyły się kłęby mdłych wahań i ciemnych wątpień.

Nie pierwszy to raz kłiwość rzeczy ludzkich i gorycz, którą sączy każde ich rozkaszane jądro, zalewały mu serce męskie w tych właśnie momentach, gdy ramiona sławy wznosiły go najwyżej, lub kołysały najśłodziej ramiona rozkoszy. Lubił sławę i lubił rozkosz, lecz nigdy dłużej nad jeden obrót piasku w klepsydrze w objęciu ich nie pozostawał spokojnym i ufym. Za ledwie upajające dymy ich przebić zdołały tkaninę jego mózgu, wnet napełniały go roje zapytań niespodzianych, myśli czarnoskrzydłych.

Cóż dalej? Co na dnie? Co w końcu? co po końcu? Czy nic nie wzłata wyżej, nie trwa stalej, nie ogarnia tkliwiej, nie przenika głębiej nad zgiełk boju, nad hymn chwalby, nad woń róży, nad płomię pocałunku, nad słodycz wina, zaprawionego miodem?

Tak zapytywał. I myślał, że pomimo wielkości swojej umrze tak samo, jak umarł ojciec jego, Mago Mądry, jak umarła matka jego, Mora Gwiazdooka, jak pomarli Phto, Korus, Syo, owi piękni, wielcy, silni, sławni poprzednicy jego, chluby Kartaginy, ozdoby świata. Myślał, że ten tylko łożo bezpieczne dla radości w sercu swem usłać zdoła, kto nigdy żywemi oczyma nie widział trupa; że jednostajnymi są początki i końce takich, jak on, triumfatorów zwycięskich i tych Numidów zwyciężonych, którzy tylekroć u stóp jego czołgali się lub konali; że ich i jego jednostajną bogowie dotknęli nędzą: nieświadomości swoich początków i swoich końców, jako też początków, końców, dróg i przeznaczeń wszystkiego, co wokoło ich małości i wokoło jego wielkości istnieje.

Bogów ojczyzny swej, krwi żądnych, szaleńców zmysłowym pijanych, w czci miał niewielkiej, lecz lubił czasem słuchać powieści Archilea z Platei, o tym Bogu Nieznanym, ku któremu wzlotną myślą swą docierali Grecy, nigdy, aż do ostatka dotrzeć nie mogąc. Słabym, choć żądnym oddechem duszy, może wspomnieniem głuchem lub mętne przeczuciem wiedzeni, poprzez ziemskich sił i pomysłów zawieruchę, ścigali oni jakieś oblicze przeolbrzymie, jakąś przepotęzną siłę, myśl, a w kształt zakuć i w słowa ulowić ich nie mogąc, nie wzniesli dla nich świątyni ani ołtarza i tylko poświęcili im głąz ogromny, który pod odkrytym stropem niebieskim, wśród pól milczących, wiecznie milczał.

Archileos z Platei, ścigany przez los i ludzi, ukrył się niegdyś pod dach Magona i za gościnność oddawna płacił mu słowami — które mącą duszę. Słowa Archilea mąciły duszę kartagińskiego wodza, jak czasem błyskawice mącą ciemność burzliwej nocy. Wojował Mago, rządził, w radach ojczyzny swej uczestniczył, ssał z piersi życia wszystkie jej mleka i miody; mów Archilea słuchać długo nie miał czasu. Tylko kiedy-niekiedy słowo jedno,

słów kilka, pół obrotu piasku w klepsydrze, — coś nakształt błyskawicy, w której przelotnym błysnięciem zamajaczyły w ciemnościach kształty przedziwne, wzrosty ogromne, linje przejasne, ale czem były, oko nie rozpoznało, bo błyskawica zgasła.

W błyskawicowem takim widzeniu ujrzał raz Mago z za wonnych dymów, z za lśniących puharów, z za szumnych zgiełków biesiady, rozkwitający w głębi cienistych ogrodów kwiat białej magnolji i, rozplótszy zawiązane mu u szyi ramiona Hality, białolicej Sabiniki, współbiednikom zniknął z oczu. Nikt nie widział, jak od gwaru ludzkiego daleko, wśród ciemnych cyprysów, korona śnieżnego kwiatu i oblicze sławnego męża oko w oko na siebie patrzyły; on zapytywać się zdawał o tajemnicę jej niepokalanej bieli, ona w odpowiedzi mu wysłała z atlasowej swej głębi skarabeusza o szmaragdowych skrzydłach, który wzbil się nad nim symbolem nieśmiertelnej duszy.

W błyskawicowem jakim widzeniu, innym razem, po uczcie, wśród której wargi niewieście, w ogniu wina zapalone, sen z powiek mu starły, Mago w sypialnej komnacie swej ujrzał rzecz niespodziewaną. W różanem świetle syrakuzkańskiej lampy, na kwiecistych purpurach syryjskich kobierców ujrzał pełzające, podrzucające się w ohydne kłęby i koła zwijające się głowy niedawno pobitych Numidów. Poznał je. Temi samemi były, na które oczyma spracowanemi w boju, z piersią wzdętą od radości, patrzył wśród pola zwycięskiej dla niego bitwy. Teraz od tych twarzy wykrzywionych, oczu obłąkanych, warg palcem śmierci spalonych i zmiętych, poszły mu w członki bóle niepojęte, cikliwości nieznośne, haki wydzierające z ciała i duszy wszystkich ich spokój.

Lecz nazajutrz przypadła mu do piersi cudnej piękności Myrta czarnowłosa, a potem z urny losu wypadł nowy bój zwycięski. Mago był znowu mężem nad wszystkie mężę chciwym sławy, pocałunków, róż — i miodem w żyłach pociekło mu życie szczęśliwe.

Ze mogło kiedykolwiek nieszczęśliwym bywać, nie wiedział nikt, i on nie wiedział dlaczego bywało. Myślał czasem, że weszło to w niego z nieśmiertelnej duszy ojca, tego Magona Mądrego, który nad wszystko w świecie kochał ziemię, jej plody, jej żywiące soki i o nich napisał dzieło wiekopomne. A czasem samemu sobie na ciele chorym się zdawał, lekami przeciw od choroby, która go udręczała, — rzecz dziwna! — bronić się nie chcąc. Z udręczeń o niewiadomem źródle, które były jak błyskawice rozdzierające ciemność, sączyła się rozkosz inna niż ta, którą wypijał z czerwonych warg Myrty, lub jak rosę brylantową zbierał z wawrzynowych wieńców, lecz której utracić nie chciał dlatego właśnie, że była inna, że czyniła go innym niż inni, że go czemś niepojętem i w słowa nieujętem wynosiła nad innych. Nad wysokich rówieśników swych uczuwał się Mago wyższym i czyniło go to dumnym, a także smutnym, bo ten wzrost sprawiał, że był samotnym i, towarzyszy mając mnóstwo — nie miał przyjaciela.

Gdy jako Nawarchoz, wódz floty potężnej, ku Syrakuzie płynął, opadły go błyskawice, ukazujące wśród ciemności rozwiejne zarysy rzeczy dostrzeganych oddawna, nierozpoznanych nigdy. Płynął tam, aby przeciwko zbuntowanemu ludowi wesprzeć tyranów Hykotosa i Denisa, pod stopy im rzucić cudną, a teraz łzami zalaną »żrenicę Sycylii«. Wesprzeć tyranów przeciwko ludowi! Tak mówili, to światu wmówić usiłowali wielkorządcy kartagińscy, ale Mago śmiał się z tych upewnień. Szczerść punicka! Przysiężenia punicka! On wiedział co o tem myśleć i świat wiedział, skoro ze słów tych utworzył szyberskie przysłowie: kupa handlarzy, góra kłamstw, to Kartagina. Gorący wstyd na czole za ojczyznę swą uczuwa. Mago. Nie jestże z niej dumny? Owszem, dumą napawa go jej potęga wojenna, jej bogactwo. Tylko w błyskawicowem widzeniu dostrzega nieprzeliczoną moc rąk chciwych, szpetnych, drapieżnych, brudnych od metalu, ociekłych krwią...

On wie. Nie po to za tryemą jego w ślad płyną setki okrętów punickich, nie po to na tych okrętach błyszczą orężem mirjady żołnierzy, aby Punici ceną krwi swojej dla Hykotosa i Denisa kupowali »żrenicę Sycylii«. Dla siebie kupić ją zamierzają. To nie pomoc sprzymierzeńcom udzielona, lecz nowe oszustwo. Na podbój Syrakuzy, pod dowództwem Magona płynie ta flota...

To podbój! Więc znowu podbój! O, chwała tobie, Kartagino, królowo mórz! Jednym więcej klejnotem wzbogaci się twe bogactwo, jednym więcej triumfem rozbrzmi po świecie sława twej potęgi, a sprawi to najpierwszy z synów twoich, Mago niezwyciężony, Numidów i Libijczyków pogromca, Mago Wielki!

Hej, słudzy! wołać tu Hanona, Lokata, Judra, dowódców o dłoni silnej, mężów o tarczach białych i pióropuszcach krwawych nad stalowemi hełmy!

Przybiegli posłuszni, karni. Narada wojenna, gwar, spory. Hanon zacięty, choć skryty wróg Magona, raz jeszcze przed wolą jego ukorzył swą wolę i błysnęło nienawiścią oko śniadego Punity. Jedna to iskra więcej w ognisku radości Nawarcha, bo Hanonem zawistnym, przebiegłym i chytrym gardzi. Szybciej, silniej biją o tonie morskie wiosła tysiące, szybciej, weselej żeglarze pieśniami napęlniają szerokie przestworza i, na mocne wiatry rozpuszczając żagle, kwieciste wieńce rozwieszając na masztach, za Magonową tryremą nie płyną, lecz, zda się, lecą setne okręty... Na podbój najpiękniejszego w świecie kraju i miasta, po Sycylię i Syrakuzę, po nowy klejnot dla kartagińskiego skarbcza, po liść najwonnejszy dla Magonowego wieńca chwały!

Szaleje Mago przy biesiadnym stole. Myrta czarnymi włosy pierś mu osypała, wyborne są wina greckie i urokiem piękności nieznanych, a słynnych, mrugają w oddali źrenice — gwiazdy syrakuzenckich niewiast.

Północ minęła. Wielkie, złote gwiazdy usiewają niebo. Cicho nad drżącym odbiciem gwiazd w morzu suną okręty punickie z wędzącymi w zmroku wonnej nocy różami na szczytach masztów. Na tryremie wodza wszyscy posnęli; nawet w sercu Hanona usnęła wściekła zawiść. Ciszą głęboką na morzu, na niebie, na tryremie. W ciszy, pod gwiazdami na bezludnym pokładzie, szemrze szept:

— Archilen! Archilen! pójdz do mnie, bo oto znowu dusza omdlewa mi w cikliwej próżni i zrywa się w niej ciemny ptak, drapieżny ptak, straszny ptak śmiechu bezsennej nocy nad przeminionym dniem! Cóż dalej? Co na dzień? Co u końca? Co po końcu? Czy nic nic wzlata wyżej, nie trwa stale, nie ogarnia tkliwiej, nie przenika głębiej nad podbój, nad bogactwo, nad objęcia Myrty sprzedajnej, nad chwałbę fałszywych ust?

*

Znowu noc. Już w zatoce Sycylijskiej, u stóp Syrakuzy, w cieniu wysokiej warowni stoją na kotwicach okręty kartagińskie i sennie kołysze się na łagodnej fali tryremą Nawarcha, Magona. Bezpieczniami czują się śpiące na okrętach wojska, spokój panuje na tryremie wodza. Wódz jednak nie śpi. Kotary z tyryjskich kobierców purpurowymi zwojami splotają wokół łoża, z wyciągniętą postacią wojownika, potężną i bezseną. Tu, ówdzie, gliniane lampki egipskie pełgają wśród purpur płomykami, podobnymi do niespokojnych iskier. Ogniste oczy Magona mają niespokojne pełgania egipskich lampek. Może to być, aby najmężniejszy z Punitów trwożę uczuł na wieść o zwycięskim ku Syrakuzie pochodzie Timoleona, najcnotliwszego z Greków?

Przybywał. Na czele Koryntjan, pośpieszających z pomocą braciom-Grekom, wkrótce już pod mury Syrakuzenckie przybyć miał Timoleon.

Hykatos, w strachu ślaniając się u kolan Magona, błagał, aby punicy żołnierze zesłi z okrętów, napęlnili miasto i bronili go przed zbliżającym się Timoleonem. Mago jak lew rozgniewany porwał się był i wszystkimi trąbami wojsk swych, nad morzem zarzycał: Do Syrakuzy!

Jak stado jastrzębi z rozpuszczonymi po krwawe mięsiwo szpony, spadli na Syrakuzę kartagińscy żołdacy. Splakana »żrenica Sycylii« krwią zaszła.

A teraz, oczyma pełgając, jak pełgają płomyki przez wiatr miotane, wielki Punita leży wśród purpur bezsennej i — słucha. U dołu opon, nisko przy ziemi, słycać głos, który opowiada, pokorny głos ubogiego domownika, cichy i czasem lżą zaszły głos Greka, mieszkającego na kartagińskiej tryremie.

— W bitwie, którą Koryntjanie staczali przeciw mieszkańcom Argosu, Timofanes, brat Timoleona, popadł w niebezpieczeństwo śmiertelne; zraniony koń jego, upadając, rzucił go pomiędzy wrogów. Wnet strach, ten błędzący po polu bitew wróg wojowników, towarzyszy jego błądą pięścią pomiędzy oczy uderzył, aż uciekli. Wtedy zdążyła dostrzegająca to Timoleon bieży na pomoc bratu, okrywa go swym puklerzem i ciało własne na tysiąc grotów, na tysiąc ciosów wystawiając, z zaciekłością lwiej macierzy, lwiątek swych przed napastnikiem broniącej, broni brata, obrania go, na rękę swym z bitwy unosi i, zranionego żołnierzom, wodzom, ludowi pokazując, woła: ten jest bohater! patrzcie, jak walczył mężnie, jakie rany za wolność Koryntu poniósł...

— Miłował brata...

— Miłował, panie, jak człowiek miłuje oko swoje, przez które widzi jasność dnia. Jasnością dnia był Timofanes, pełen pychy i popędliwych chuci dla Timoleona, cichego jak mądrość, słodkiego jak mądra łagodność. Miłował Timoleon Timofana więcej niż sławę swoją i to sprawiał, że w urzędach pokoju i wojny współobywatele wynosili brata ułomnego wyżej nad tego, który był wzorem ludzi. A gdy prośbą i namową, staraniem i radą już wyniósł go wysoko, wnet nad ułomnościami jego zasłonę ze skrzydeł swych roztaczał, o wszystkim, co sam przemyślił, mówiąc: to Timofanes przemyślił! o wszystkim co sam uczynił, mówiąc: to Timofanes uczynił! służąc umiłowanemu, jako kiję służą krokom chorego człowieka, a wszystko to czyniąc w skrytości tak zamkniętej, że zdawał się być niczem, gdy Timofanes zdawał się być wszystkim, że zdawał się mdłym cieniem, gdy Timofanes zdawał się triumfującym słońcem... Lecz, co widzę, o Panie? Czy mylą mię oczy, w twardej służbie życia wpółosleple? Zeusowe brwi twe zatrzepotały jako skrzydła krucze i na olimpijskim czole położyły dwa znaki zadziwienia. Czemu tak dziwisz się, synu Magona Mędrca?

— Nie widziałem ja, o Archileu, w ojczyźnie swej, Kartaginie, miłowania takiego i gdy brwi moje kładą mi na czoło znaki zadziwienia, w piersi zrywa się śmiech z miłowania wielkiego, z miłowania takiego, jakiegom nie widział.

— Dlaczegoż nie śmiejesz się, o najszcześliwszy z ludzi?

— Głaz ciężki legł mi na śmiechu i wyjść mu ze mnie nie daje...

— Ten głaz, o wodzu, to smutek...

— Czyliż smucą się potężni?

— Spójrz w siebie, najpotężniejszy! Czy nie uczuwasz, jakoby wiatr niósł powiewy od hyperborejskich lodów? Czy nie spostrzegasz, jako uciekają, w blade mary przemienione, dymy kadzidłowe. Lodem hyperborejskim, marami uformowanymi z dymu są potęga, sława, miód rozkoszy, połysk djamentu, czerwień purpury, gdy ogniem ich nie przepływa i słodyczą nie nasycy — wielkie kochanie.

Mago silnie zwarł dumne wargi, długo milczał, a potem rozkazał:

— Mów dalej!

— Koryntjanie, przewidując niedaleką wojnę, składają nowe pułki i dowództwo nad nimi oddają Timofanowi, jako najwięcej zasłużonemu ojczyźnie, o tem, że zasługi ukrytą sprawą Timoleona były, nie wiedząc. Wnet człek pyszny i pełen wrzących chuci ogłasza się panem samowładnym miasta, na karki tych, którzy opór mu stawiają, morderczy miecz opuszcza i kraj kwitnący, szczęśliwy, wolny kładzie w paszczę tyranidy. Timoleon rzuca się do stóp brata i na duchy przodków, na łono wspólnej matki, na ogień święty, na wody czyste, na niebo wysokie zaklina, aby szlak krwawy opuścił, ojczyznę przebłągał, przebaczenie jej kupił...

— Kupił? — przerwał Mago.

— Tak jest, panie. Takie prawo nad śmiertelnymi zawiesiły moce niepojęte, że wszystko, co ich żywi, poi, raduje, wynosi, wzbogaca, oczyszcza, kupować oni muszą. Bólem płaci niewiasta powstanie dziecka swego, ceną śmiechu bywają przybiegające za nim łzy, mędrzec za mądrość monetą trudu, młodość starością, nadzieja wspomnieniem, życie śmiercią i śmierć sama tworzeniem nowego życia płacą. Oplatą winy — jest cierpienie...

— A czem za cnotę płaci cnotliwy? — zapytał Mago.

Archileos po chwili myślenia odrzekł:

— Cierpieniem.

Porwał się Mago i krzyknął:

— Srogie to prawo! Któż je zawiesił nad ziemią? Po co zawiesił?

Archileos nie odpowiadał długo, a potem, usta z otaczającym je włosem siwym i całe prawie oblicze, w oponę purpurową tak utulając, jakby jej jednej powierzał tajemnicę straszliwą i żalną, rzekł:

— Głaz poświęcony Bogu Nieznanemu — milczy.

Długie milczenie, które nastąpiło potem, przerwał Nawarchos rozkazem:

— Mów dalej!

— Timofanes odtrącił brata, znowu głów wiele strącił z karków współobywateli, majątności ich zagrabił, ostatni szczt sprawiedliwych praw Koryntu zniósł. Jak zwierzę, które wije się z bólu pod chłostą nielitościwej dłoni, pod biczem jego i pod piętami jego żołnierzy Korynt wil się i wył; cicho wył, bo za głośnie szczeknięcie wszelka głowa

rozdzielała się ze swym tułowiem. Natenczas przed Timoleonem otwarły się bramy pałacu tyrana, pilnie przed innymi strzeżone. Zbrojna straż, bez podejrzeń, przed oblicze wszechwładnego dopuściła brata-dobroczyncę. Z dwoma przyjaciółmi przybył i znowu, kolana umiłowanego objawwszy, błagał... a w odpowiedź otrzymawszy śmiech szyderski człowieka, który z ziemi i nieba, ze sprawiedliwości i ojczyzny wesoło drwi sobie, do przyjaciół rzekł: „czyńcie!” i, twarz skrajem chlamidy zasłoniwszy, padł na ziemię cały w płaczu... A oni uczynili... Porywasz się, Panie! Siadasz na łożu! Z szeroko rozwartych oczu twych, z warg drgających, z piersi dyszącej wybucha pytanie, którego nie wymawia głos. Co uczynili? Przebili go mieczami swemi. Przebili go na rozkaz tego, który więcej nad miłowanego człowieka miłował ludzi...

Jak iskry drgające na wietrze, tak błyskają naokół płomyki egipskich lampek, lecz nie wtórzy im błyskanie oczu Magonowych, które spuszczone powieki okryły. Tylko na wielkiem czole Punity zmarszczki skłębione świadczą, że przetaczają się pod niem ciężkie kłęby myśli i pierś szeroka wznosi się ciężkim oddechem.

— Mów dalej!

— Rozległy się w murach miasta i na otaczających je polach hymny radości, peany zwycięstwa, lecz Timoleon nie widział, nie słyszał nic, bo od gromu przeraźliwego oślepli, ogłuchli, Korynt opuścił. Kędy sam na sam ze stropem niebieskim rozmawiają pola najjałowsze, kędy po skalnych wzgórzach stada kóz pną się pod strażą ubogich pasterzy, skąd wieczna samotność odgania pociechy i uciekają przed głuchem milczeniem nadzieje, tam poszedł... Któż wie, dlaczego tam poszedł? Może żałobę swą przed oczyma ludzi ukryć pragnął? Może gdy usta jego słowa: bracie! wymówić już nie mogły, dla słów innych otwierać się nie miały siły. Może obmierzły mu ludzkie sprawy i błagać chciał gwiazd, chmur, wichrów, gromów i milczeń pustyni, aby odkryły przed nim sprawy Boga Nieznanego. Któż zgadnie, jakie gwiazdy kierują sercem wielkiem i jakie zalegają je chmury, gdy zaszumi w nim wicher przeznaczeń nieszczęsnych, gdy w nie uderzy grom nieskończonego bólu!...

Coraz cichszy, umilkł i stopił się z ciszą głos opowiadającego, minuty płynęły, aż w komnacie ozwało się echo:

— Któż zgadnie, jakie gwiazdy kierują sercem wielkiem!

Nisko przy ziemi, cichy głos Archilea szemrał znowu:

— Dwadzieścia razy słońce okrążyło ziemię, odkąd Timoleon-bratobójca, na pustyni z gwiazdami, z chmurami, z wichrami, z ubogimi pasterzami trzód kozich przestawał, gdy przybyło ku niemu poselstwo z Koryntu, błagające, aby na czele wojska ku Syrakuzie śpieszył. Nieszczęście wołało nieszczęśliwego, Grecja wołała Greka. Usłuchał. I oto wnet już wystąpi do walki z tobą, o Panie, z tobą, któryś jest najstraszliwszy wróg Grecji i Timoleona...

Po komnacie znowu rozległo się echo:

— Wróg Grecji?...

Przepastne zdumienie było w tem echu i pierwszy poszum wichru, który niesie bóle i bunty.

— Wróg Timoleona... którego wielbię?

Z twarzą obróconą ku ścianie, jakby przed nią tylko głębiny duszy swej odkrywał, mówić począł:

— Jest mi tak, jak gdybym obudził się ze snu. Śniło mi się, że byłem wrogiem Grecji, a teraz spostrzegam, że brzydzę się zadawaniem krzywdy krainie, na której palce błogosławiące położyły geniusze wielkich myśli i czynów, mamże, jako zwierzę dziki rozdeptywać plody tej ziemi, w truczną obracać żywiące jej soki? Śniło mi się, że byłem wrogiem Timoleona, a teraz głośno wołam, bo moc uczuć niepojęta z piersi mi wyrzuca słowa popędliwe: czemu ja męża tego nie spotkał na górskiej przełęczy i pocałunku przyjaźni nie wziął od niego w przeczystym eterze? Czemu wśród równin morskich przestrzennych, wolnych, w oddechu łagodnych wiatrów nie spoiły się dłonie nasze przymierzem pokoju? Czemuśmy razem nie ścigali oczyma lotu orłów, my — dwaj orłowie? Czemu pod ognistym okiem słońca nie rozmawialiśmy z sobą o rzeczach wielkich, my — dwa duchy dla rzeczy wielkich stworzone z ognia? Dlaczego na drodze swej napotykał ludzi zimnych i ludzi fałszywych, ludzi głupich, złych i małych, ciągnących na niżej?... Czemu,

gdym stworzon do boju i mordów, na dnie duszy mam płaczącą litość? Czemu dla mnie, którym wziął tak wiele, siła rozdawnicza nie miała tego, bez czego wszystko jest zgrzytem i bólem — harmonji?

Tak duszę swą otwierał, dziwił się, zapytywał Mago, a głos cichy, w zwoje kotary wtulony, u ziemi zaszemrał:

— Głaz poświęcony Bogu Nieznanemu milczy...

Wtem, na pokładzie tryremy rozległy się głośnie wołania, okrzyki, kroki i u podniesionych kotar komnaty Nawarcha stanęli podwładni mu dowódcy. Z ust ich, tkniętych bladością wielkich wzruszeń, wypadła wieść... Timoleon z Koryntjanami swymi przybył. Już pochodem zwycięskim sycylijskie przebiegłszy pola, u stóp Syrakuzy stanął. Szpiegowie wyliczają, że wojska jego wobec punickich mirjad są jak garść piasku z dłoni dziecięcej wyrzucona wobec tumanów, które po afrykańskich pustyniach noszą niepowściągnięte wiatry. Zwycięstwo Punitów pewne. Do boju, wodzu! nieprawdaż? Powiedz, Magonie wielki, posłuszni, jak huf tygrysów, za tobą pobieży!

Porwał się z łoża Nawarchos i gromkie rozkazy padać mu z ust poczęły.

— Do szturmowania miasta narzędzia gotować! Wojska na ląd wysadzać! Do boju, tygrysy moje! Do boju, Punici! Do boju z wielkim Grekiem...

Wtem zamilkł i, powleczone bladością tych, których nieskończone zdejmują bóle, jął to powściągać, co był do biegu popchnął.

— Czekać! Stójcie! Jam jeszcze rozkazów nie wydał! Niech dzień upłynie... jeden dzień!... Potem Mago Wielki powie, a wy, posłuszni, spełnicie!

*

Przeминаł dzień. Mago Wielki powiedział; oni, posłuszni, spełnili...

Cicho, bez pieśni, bez wieńców na masztach, milczeniem wstydu powleczone, od Sycylijskich brzegów odbiły kartagińskie okręty i już, okrążywszy przylądek, wypłynęły na Afrykańskie morze, gdy w Syrakuzie, u szczytu jej twierdzy, u stóp jej murów, rozległ się okrzyk:

— Uciekli!

Uciekli Punici, uciekł w trwodze sławny z męstwa ich dowódca! Bo cóż innego, jak tylko trwoga blada mogła pchnąć ich okręty z powrotem ku brzegom ojczystym? Kędyż ukryła się, kędy przepadła potężna flota Kartaginy? — żartowali Grecy. Tysiąc, dwa tysiące, dziesięć tysięcy talentów złota temu, kto zgadnie, albo wynajdzie, gdzie ukryła się i przepadła flota Kartaginy razem z wodzem swym, Magonem Wielkim — tchórzem!

Na żaglującej po afrykańskim morzu tryremie Nawarcha rozlegają się krzyki:

— Uciekłeś, Magonie Wielki! Tchórz!

Wydaje krzyki te z piersi, białymi puklerzami osłoniętych, gromada mężów o krwawych pióropuszech nad stalowymi hełmy. Hanon im przewodzi. Godzina wzywana przez zawiść jego — wybiła! Mago-tchórz runie w otchłań, on stanie u szczytu! Wściekłym gniewem płoną oczy, w zapamiętałej groźbie miotają się ręce; ramiona potężne, postać wodza oplótszy, walą go na ziemię. Zginiony!

Nad opalową roztoczą Egiejskiego morza, blaskiem świetnych odrodzin jaśnieje Syrakuzy. Kwitną rumieńcami wybladłe przedtem lica, śmieją się serca, śpiewają usta, ze świątyni, z rynków, z panegirji, z agry, z pola igrzysk, poświęconych bóstwom zbawczym, tryskają pod niebo hymny pochwalne, dziękczynne, radosne...

Nad afrykańskim morzem, u szczytu pobróżnej skały drzewo hańby i śmierci wznosi ku niebu rozpięty na niem błąd trup Magona.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/magon>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, Ostatnie nowele, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1921.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0627-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.